

Jack, najstarszy syn właściciela największej sieci salonów samochodowych na południe od Kansas, przejechał pomiędzy rzędami Cadillaców, wzbudzając przy tym tumany pyłu. Zatrzymał swojego Vipera, którego najchętniej wymieniłby na jakieś BMW klasy S, na betonowym podjeździe przed rodzinną willą i dał sobie jeszcze czas na głęboki oddech. W końcu, z ociąganiem wykaraskał się z, jak to mawiał ojciec, dumy współczesnej amerykańskiej motoryzacji i pomasaował się po karku. Był zbyt wysoki na to, aby trzygodzinna podróż w tym szpanerskim wozie nie dała mu się we znaki. Poprawił jeszcze nisko upięty blond kucyk i nacisnął klamkę drzwi wejściowych do piętrowej willi z dwóch rodzajów czerwonej cegły. Przywitał go uśmiech jego macochy, córki japońskich imigrantów, która krzątała się po kuchni. Miała stamtąd dobry widok na salon, do którego bezpośrednio prowadziły frontowe drzwi.

– Cześć, mamó – przywitał się Jack po wejściu do kuchni i pocałował ją w policzek. Z racji dużej różnicy wzrostu mógł jej łatwo zajrzeć przez ramię do garnków na piecyku. – O, zupa z batatów. Wiesz, jak dopieścić swoich mężczyzn.

– Oczywiście! – Zaśmiała się kobieta, mrużąc przy tym swoje skośne oczy. – Boję się, że jak nie będę idealną amerykańską panią domu, to mi cofną obywatelstwo! – zażartowała.

– Ojciec nigdy by na to nie pozwolił – odparł Jack. – No właśnie. Zwołał tą całą tajemniczą naradę rodzinną, a nie ma go w domu?

Misaki nabrała łyżką zupy, podmuchała i podstawiła pod nos Jackowi.

– Pojechał rano do starego Johnsona. Chyba znów się wyklócać o cenę transportu lawetą, ale mówił, że wróci na obiad.

Jack pokiwał ze zrozumieniem głową i posmakował zupy.

– Pyszna. Mam wrażenie, że lepiej rozumiesz amerykańską kuchnię niż nie jedna blond pani domu – pochwalił. – A gdzie Matt i Liam? Widziałem samochód Matta na podjeździe.

– Och, Matt przyjechał niedługo przed tobą – odparła Misaki. – Bierze prysznic na górze. A Liam... Cóż, nie wiem, czy będzie. Nie daje znaków życia ostatnio.

Kobieta widocznie posmutniała, a Jack pomyślał, że wypada ją pocieszyć. Jednak był już zmęczony całą tą szopką, którą musiał odstawiać, ilekroć przyjeżdżał do domu, no i nie przepadał za swoimi przyrodnymi braćmi, więc tylko powiesił swoją marynarkę na krześle.

– Skoro nie ma jeszcze ojca i Liama, to idę się przejść – oznajmił i wyszedł z domu.

Flagowy salon Hetfielda sprzedający nowe i używane samochody jedynie amerykańskich marek znajdował się przy Route 66 w pobliżu Amarillo w Teksasie. Południowe słońce odbijało się od wypolerowanych przez mniej lub bardziej legalnych imigrantów karoserii rzędów nowiutkich Cadillaców, Chevroletów i Pontiaców poustawianych na parkingu przed budynkiem. Za to za oszkloną bryłą salonu rozciągało się niemal bezkresne pole używanych samochodów, poczynając od tych z zaledwie kilkoma tysiącami kilometrów na liczniku, a kończąc na zerdzewiałych szkieletach. I właśnie tam, za dającą się policzyć w tysiącach sztuk flotą samochodów, znajdowała się willa właściciela tych majątkości, Benjamina Hetfielda. Jack, pierworodny syn z pierwszego małżeństwa zatrzasnął drzwi wejściowe i sięgnął do kieszeni szarych, garniturowych spodni po paczkę papierosów. Już z zapalonym papierosem w swoich szerokich ustach podwinął rękawy czarnej koszuli i ruszył wzdłuż rzędu starych samochodów przeznaczonych na części. Ustawienie i kolejność aut wciąż się zmieniała, choć starano się zachować segregację na starsze i nowsze sztuki. Jack szukał konkretnego auta, mianowicie czerwonego Cadillaca deVille z siedemdziesiątego trzeciego, z charakterystycznymi pasami wzdłuż maski. Był pewien, że akurat ten samochód będzie stał w tym samym miejscu, co zawsze. Znalazł go dość prędko i uśmiechnął się na jego widok. Samochód został przeznaczony na części. Nie miał już silnika, przednich siedzeń i szyby, a jednak jego karoseria była wypucowana woskiem na błysk. Oparł się tyłkiem o lewy reflektor i w spokoju kontemplował papierosa. Spojrzał jeszcze w dół, na swoje pokryte pyłem buty i się skrzywił.

Nienawidził tego zadupia, tych ograniczonych ludzi i ich głupoty. Uniósł głowę, dopiero gdy na jego skórzane buty padł cień. Rudy, piegowaty chłopiec w ciemnoniebieskim kombinezonie mechanika wlepił w niego swoje błękitne oczy. Jack przyjrzał mu się krytycznie bez słowa. Długie, miedziane wręcz włosy miał nieuczesane, a całą jego twarz pokrywały piegi. Na szczęście nie wyglądało to tak tragicznie, jak u siostry bliźniaczki chłopaka. Ona miała tak dużo piegów, że aż zlewały się w większe plamy. Przypominało to jakieś chorobowe wybroczyny i było obrzydliwe zdaniem Jacka. Na szczęście u chłopaka większość piegów znajdowała się na nosie i pod oczami, a reszta twarzy była nimi rzadziej usiana.

– Kombinezon? – spytał po chwili Jack. – Nigdy wcześniej tego nie nosiłeś.

– Pan Hetfield kazał – odpowiedział Josh, bo tak miał na imię chłopak i z zagubieniem wymalowanym na twarzy popatrzył po sobie. – Ma być... reprezentacyjnie.

Jack zaśmiał się pod nosem na tę odpowiedź i przyglądał się Joshowi. Jednocześnie kombinezon z masą kieszeni był rozpięty niemal do pępka, ukazując piegowatą, lekko zapadniętą klatkę piersiową chłopaka.

– Nie nosisz pod tym podkoszulka? – zapytał Jack i skinął na niego, aby się zbliżył. – Nie masz od tego podrażnionych sutków?

Gdy tylko mógł sięgnąć ręką, odchylił połę kombinezonu i ścisnął między dwoma palcami lekko zaczerwienioną brodawkę. Josh zasyczał przez zęby, ale się nie odsunął.

– W podkoszulku jest mi za gorąco.

– To może spróbuj plastrów – zaproponował Jack, masując jego sutek. Mina chłopaka podpowiedziała mu, że musi wytłumaczyć: – Maratończycy tak robią, aby im się nie ocierały o przepoconą koszulkę podczas biegu. Inaczej można nawet zacząć krwawić. No ale nie ważne. Nie mam zbyt wiele czasu do obiadu.

Josh przełknął ślinę i pierwszy wsiadł do samochodu. Usunięte przednie siedzenia dawały dużo przestrzeni. Jack wsiadł od drugiej strony i usiadł na kanapie obok widocznie spiętego

chłopaka. Wyciągnął dłoń do jego twarzy i pogładził kciukiem jego piegowaty policzek. Błękitne oczy zwęziły się z przyjemności, a głowa schyliła w stronę dłoni.

– Jack – wreszcie wypowiedział jego imię. Nie potrafił zrobić tego poza wnętrzem tego konkretnego Cadillaca. Blondyn dotknął jeszcze wydatnych ust chłopaka i cofnął rękę.

– Teraz będziesz musiał się rozebrać cały – stwierdził mężczyzna z uśmiechem.

Tak naprawdę to lubił te jego piegi pokrywające niemal całe ciało. Tyłeczek chłopaka był przez nie szczególnie rozkoszny. Co najśmieszniejsze wiedział, że Josh ma na nim piegi, ale nie był pewien, czy także na brzuchu. Za chwilę miał się o tym przekonać, bo chłopak nieporadnie wygramolił się z kombinezonu. Gdy był już tylko w bokserkach i schodzonych trampkach, wlepił wyczekujący wzrok w Jacka. Czekał na to już od wczoraj, gdy pan Hetfield powiadomił o przyjeździe synów. Od tej pory czuł ściskanie w brzuchu, który mimowolnie wciągał. No i tam niżej też to czuł. Na swoim wielkim penisie, na którym co niezwykle także można było dojrzeć piegi, o ile nie był pobudzony. Jack tylko potarł jeszcze swój wymodelowany zarost w typie hollywoodzkim i sięgnął do kieszeni po saszetkę z nawilżeniem i prezerwatywę. Miał tylko jedną, a nie wszystkie aspekty seksu analnego mu odpowiadały.

– Wiedziałeś, że przyjadę, prawda? – spytał i otrzymał potwierdzające kiwnięcie głową.

– Więc przygotowałeś się jakoś na tę chwilę? Pytam, czy robiłeś sobie palcówkę. No, żeby się umyć tam i rozciągnąć – zakończył już płasko.

– Co robiłem?

No tak, pomyślał z rezygnacją Jack. Przecież chłopak jechał na czystym instynkcie. Jack nie był nawet pewien, czy rudzielec umiałby określić słowami to, co za chwilę zrobią. Albo czy był świadomy swojej orientacji. Wychował się przecież na tym zakompleksionym, konserwatywnym zadupiu praktycznie sam, no i nie należał do najbystrzejszych. Tak jak w tym filmie, gdy dyrektor szkoły pokazuje na wykresie matce Forresta Gumpa poziom inteligencji jej syna. Josh był po prostu trochę pod kreską.

– Pytam, czy wsadzałeś sobie tam palce – zapytał już dobitniej i tym razem otrzymał w odpowiedzi przeczący ruch głową.

– No i po sprawie – mruknął jeszcze Jack, nim ucałował wydatne usta chłopaka.

Josh przesunął się do końca siedzenia, aby móc opierać się o szybę. Jedną nogę spuścił na podłogę, a drugą wyprostował wzdłuż oparcia. Jack skwapliwie skorzystał z tego niemego zaproszenia i pochylił się nad chłopakiem. Z pocałunkami zszedł z szyi chłopca na jego umięśniony, lecz chudy tors, a dłońmi przesuwał po jego bokach. Odpowiadały mu nosowe sapnięcia i uściski piegowatych dłoni na koszuli. W tej pozycji bez sięgał tylko do klatki piersiowej Josha i może do jego pobudzonego penisa, ale nie miał zamiaru się nim teraz zajmować. Ten kutas był dla Jacka wyzwaniem. Tak duży i kształtny, że można by z niego odlać formę do produkcji dildo i to trochę onieśmiało mężczyznę. Nie był pewien, czy wzięłby go całego, a nie mógł stracić twarzy przed chłoptasiem patrzącym na niego jak ciele w malowane wrota. Potrzebował do tego czasu i warunków, których nie miał. I odpowiedniego nastroju, którego także brakowało. Dlatego tylko kazał się chłopakowi odwrócić. Josh miał ładne, harmonijne ciało. Jego mięśnie zbudowane na pracy popychadła w zakładzie mechanicznym wyglądały zupełnie inaczej niż te wyrobione na siłowni. Jack ścisnął jego okrągły pośladek, by wyczuć jego twardość. O tak. Był nabuzowany. Z namaszczeniem przejechał językiem wzdłuż kręgosłupa, od pośladków po sam kark, zbierając słony pot. Lewą ręką przytrzymał Joshowi włosy, by móc go całować po karku. Przyssał się do piegowatej skóry, by z premedytacją zostawić na niej malinkę. Tylko on będzie wiedział, że tam jest.

Josh trzymał oczy zamknięte. Czuł to, ten dreszcz powodujący kurczenie się mięśni. Od sztywnych sutków aż do sztywnego penisa. Uwielbiał słyszeć przy uchu chrzęst włosów, gdy Jack palcami masował jego głowę. I czuć gorące powietrze na karku, gdy go po nim lizał. Był gotowy i spragniony. Czekał.

W końcu Jack puścił rude włosy i nałożył prezerwatywę na dwa palce prawej dłoni. Nasmarował ją nawilżeniem z saszetki. Lewą dłonią sięgnął za pośladki Josha i ścisnął miejsce pomiędzy napiętymi jądrami a odbytem. To zawsze pozwalało się chłopakowi rozluźnić.

– Jack.

Z tego kąta nie widział dobrze malutkiej szparki, ale pod opuszkami palców czuł jej pulsowanie. Niecierpliwiła się, czekała tylko na niego. Jack uśmiechnął się w duchu. Rozjechane dupy z darkroomów mogły się tylko schować. Josh głośniejsz sapał przez nos i postarał się jeszcze szerzej rozstawić nogi. Było to trudne, bo na jednej klęczał na siedzisku, a drugą miał spuszczonej na podłogę.

Dwa palce Jacka skrzyżowały się po sforsowaniu zwieracza. Chłopak był ciasny. Z frustracją wypuścił powietrze i oparł czoło o plecy Josha. To trochę zajmie, ale on nie zamierzał się śpieszyć. Nie chciał mu sprawiać bólu. Chłopak miał już wystarczająco przesrane w życiu. Zachichotał na to adekwatne do sytuacji określenie i drugą ręką uwolnił swojego zmalretowanego w spodniach penisa.

Dreszcz przeszedł ciało Josha na uczucie zarostu Jacka i gorącego powietrza przez niego wydychanego. Był już na skraju, tak bardzo chciał! Przecież tak długo czekał! Tak jak kazał mu Jack! Palce mężczyzny masowały go tam z wycuciem, a on z premedytacją się na nim zaciskał. Potrzebował więcej i głębiej! Pieprz mnie, pieprz...

– Jack – zaskomlał płaczliwie. – Jack! Jack!

Mężczyzna zamarł z palcami w tyłku chłopaka. Zrobił coś nie tak? Może i nie miał doktoratu z palcówki, ale laikiem też nie był. To było dziwne. Chłopak zazwyczaj w ogóle się nie odzywał w takich sytuacjach.

– Spokojnie – powiedział i pomasaował go po plecach. Jego penis domagał się już uwagi, ale musiał go zignorować. Jeśli chłopak dostanie ataku hysterii... – Wyciągnę teraz powoli palce, okej?

Na te słowa Josh gwałtownie otworzył oczy. Nie, nie, nie... Przekręcił tułów i z całej siły odepchnął Jacka. Zaskoczony mężczyzna zwałił na podłogę. Ból spowodowany gwałtownym wyszarpieniem palców w dziurki rozszedł się falą aż po udach Josha, które zadrżały. Chłopak zsunął się na leżącego na podłodze Jacka. Obaj jęknęli, gdy ich członki się zetknęły. Josh wlaź jeszcze dalej, by poczuć, jak penis Jacka przesuwa się po jego jądrach, skórze, by dotrzeć do drgającej szparki. Chwycił go, by móc się nabić, ale powstrzymała go dłoń Jacka na nadgarstku.

– Nawilżenie... jest na siedzeniu. Nasmaruj mojego penisa.

Wciąż nie był pewien tego, co się dzieje. Ale cokolwiek to było, było... fantastyczne. Josh pochylał się nad nim, jedną ręką podpierał się obok głowy Jacka. Rude włosy zasłaniały całą twarz chłopaka, więc Jack widział tylko jego błękitne oczy. Szeroko otwarte i głodne. Poczł chłodną dłoń na penisie, który, co wydawało się niemożliwe, jeszcze stwardniał.

– Jack? – Usłyszał pytające skomlenie, gdy jego penis był już nawilżony.

– Mnie się nie pytaj. Ty tu teraz rządzisz – odparł i uśmiechnął się szelmowsko.

Josh dość ostrożnie nabił się na główkę, co dało nadzieję Jackowi, że nie stanie się nic złego. Już było cudownie, ciasno i ciepło. Położył dłonie na biodrach chłopaka, by nim pokierować w razie potrzeby, ale zamiast tego przejechał paznokciami po jego udach. Josh nabił się gwałtownie na resztę penisa, aż siadając na Jacku. Krzyknął przy tym głośno.

– O kurwa... Josh! – Najpierw to bolesne tarcie, a potem niemiłosierny ścisk. Odurzające doznanie. – O Boże...

Josh też to czuł. Penis Jacka dokładnie wypełniał jego wnętrze, tak głęboko... I sięgał do tego dobrego miejsca. Pokręcił jeszcze tyłkiem, by się lepiej umościć, co znowu wydarło z niego stęknienie. Cały się naprężył, jego brzuch pozostawał wciągnięty. Nigdy nie robił tego z Jackiem w takiej pozycji, ale już nie mógł czekać. Nie mógł się zastanawiać. Popatrzył jeszcze na twarz Jacka przez pasma rudych włosów. W oczach zebrały mu się łzy.

– Jack...

Mężczyzna w odpowiedzi chwycił jego penisa i pogładził kciukiem, wzbudzając w chłopcu nowe sensacje. Drugą dłonią sięgnął do jego policzka i odgarnął mu włosy za ucho, które od razu ponownie opadły.

– Yhmm... Wiem. Wszystko jest dobrze, Josh. Jesteś wspaniały.

Wszystko trwało bardzo krótko, ale było niezwykle intensywne. Jack wychodził naprzeciw desperackim ruchom Josha, by mu trochę pomóc. Uczucie tarcia w gorącym tyłku było niesamowite, ale też trochę bolesne. Doszedł pierwszy głęboko w Joshu. Jęknął przy tym chrapliwie i zacisnął na moment oczy. Przyciągnął Josha do pocałunku i chwycił za jego dużego penisa, który do tej pory wręcz hipnotycznie dyndał między nogami.

Josh był tak rozpalony, że niemal nie poczuł, gdy Jack się w nim spuścił. Na moment zwolnił, bo nie był pewien, czy powinien kontynuować. Chciał jeszcze wykorzystać powoli miękniętego penisa Jacka. Rozpychał go tak niemiłosiernie. Tak dobrze. Zacisnął się na nim desperacko, nie chcąc utracić tego uczucia. Na szczęście wprawna ręka Jacka pozwoliła mu uzyskać spełnienie. Krzycząc jego imię, doszedł w jego dłoń i trochę na czarną koszulę.

– Jack!

Później to już starszy z mężczyzn panował nad sytuacją. Pomógł Joshowi z siebie zejść. Wytarł chusteczkami swojego penisa i dłoń, a resztę podał chłopakowi, by mógł się doprowadzić do porządku i nie skończył z plamą z tyłu kombinezonu. Ściągnął też poplamioną koszulę, o której wczesnej całkiem zapomniał. Uśmiechnął się, gdy ujrzał wgapiającego się w jego klatkę piersiową Josha. Sporo ćwiczył. Był dobrze zbudowany, ale nie do przesady. Między jego głową i karkiem była także szyja.

Koszulę zwinął w kulkę i włożył pod pachę. Wyszli z samochodu. Jack pomiętosił włosy Josha, które były w jeszcze większym nieładzie niż wcześniej. Chłopak przymknął oczy i charakterystycznie dla niego odchylił głowę w stronę dłoni. Trochę jak kot.

– Zaskoczyłeś mnie, Josh. To było... Uch – powiedział Jack na odchodne i ucałował go jeszcze krótko w usta. – Do następnego.

Udał się z powrotem do domu na ten nieszczęsny obiad. Ściągnięcie koszuli wytłumaczy ubrudzeniem olejem albo jakimś smarem, jakby ktoś pytał. Uch, jeszcze to czuł na penisie. Kto by pomyślał, że ten rudy szczurek ma w sobie coś takiego?

Josh niemrawo podreptał w stronę serwisu samochodów. Znów dostanie burę i ściągę po głowie, bo powiedział, że idzie się tylko odlać. Nieważne. Czuł to nie tylko w tyłku, ale też na pośladkach i udach. Dziurka trochę bolała, ale to był ten inny ból. Ten dobry. Nie jak dostanie mokrą szmatą. Czuł też przyjemne mrowienie na głowie. Uwielbiał, gdy ktoś przeczesywał mu dłonią włosy. Siostra czasami tak robiła... no i Jack. Uśmiechnął się jeszcze do siebie i przyspieszył kroku. Jack.

Macochoa tym razem świadomie nie zwróciła na niego uwagi, co było mu bardzo na rękę. Poszedł na górę i bez pukania wszedł do pokoju Matta. Musiał od niego pożyczyć koszulę, bo nie zabrał ze sobą ubrań na zmianę. Był trochę wyższy od młodszego brata i mocniej zbudowany, ale nie była to wielka różnica.

– Fajnie, że zapukałeś – mruknął Matt i poprawił jeszcze szelki.

W duchu ucieszył się, że zdążył się ubrać, nim do jego pokoju wparował brat. Nie chciał, by ten widział go nago. Aby go oceniał. Jack uśmiechnął się na jego widok, ale nie dlatego, że za nim tęsknił. Bynajmniej. Byli po prostu dość podobnie ubrani w szare spodnie i czarne koszule, ale Matt miał dodatkowo brązowe szelki. Mimo różnych matek nie można im było odmówić podobieństwa. Mieli mocno zarysowane szczęki i kształtne usta. Jednak nos Matta był trochę orli, a po matce odziedziczył czarne włosy i oczy. Nie były one charakterystycznie skośne, ale za to bardzo wąskie, co w połączeniu z wysoko usytuowanymi brwiami i orlim nosem nadawało jego twarzy nieprzyjemnego, pogardliwego wyrazu. Matt nie był klasycznie przystojny jak Jack, ale jego wygląd na pewno intrygował.

– Nie zachowuj się jak cnotka – zakpił Jack i ruszył ramieniem, którym przyciskał do boku brudną koszulę. – Pożycz mi coś do przebrania.

– Nie zachowuję się jak cnotka – odburknął Matt i już bez słowa podał mu z szafy granatową koszulę w prążki. – Czym się ubrudziłeś? Nigdy nie lubiłeś się babrać w olejach napędowych.

– Może i nie, ale nietrudno na tym złomowisku się czymś upieprzyć.

– Zwłaszcza wewnątrz samochodu, takie deVille to miejsce szczególnego ryzyka. – Gdy się wiedziało, gdzie patrzeć, można było naprawdę wiele ujrzeć z pierwszego piętra willi. – Myle się?

Jack zaklął w duchu. To oczywiste, że by się kiedyś wydało. Trudno mu było ocenić, czy to dobrze, że akurat Matt go nakrył. Ciężko było rozgryźć tego introwertycznego pupilka tatusia. Pan student prawa na UT Austin. Gnojek.

– Zamierzasz z tego zrobić swoją kartę przetargową?

– Och, myślę, że to trochę za mały kaliber na takiego dupka jak ty – odparł Matt. Popatrzył jeszcze w okno i powiedział: – Nigdy nie obchodziło mnie, co i z kim robisz, ale ten chłopak...

– Ten chłopak co?! – przerwał mu gwałtownie Jack, bo już był pewien, dokąd zmierza ta rozmowa. – Myślisz, że go zmuszam, tak?

– Może i nie zmuszasz, ale na pewno wykorzystujesz – syknął Matt ciszej od brata. Gdyby matka to usłyszała... – To wiejski głupek. Gdyby dostał ankietę z pytaniem o preferencje seksualne, pewnie nie wiedziałby, co zaznaczyć.

– To, że nie potrafi zwerbalizować pewnych rzeczy, nie znaczy, że ich nie odczuwa. Małpy też się pieprzą. Niski poziom inteligencji nie oznacza od razu aseksualizmu. Ale jak na ciebie patrzę, to wysoki chyba już tak.

Matt skrzywił się na tę odpowiedź. Czego innego mógł się po nim spodziewać?

– Mnie nie musisz, ale przynajmniej okazałbyś szacunek swojemu... partnerowi seksualnemu – ostatnie słowa przemielił w ustach, zanim je wypowiedział. – Nie zgrywaj idioty, którym akurat ty nie jesteś. Wiesz, o co mi chodzi. On może nawet nie być gejem.

Jack miał już dość tej rozmowy. Obrońca uciśnionych się znalazł. Rozłożył swoją poplamioną koszulę i pomachał przed Mattem.

– Nie ma słów, ale są dowody.

– Boże, schowaj to! – jęknął Matt i odwrócił głowę. Teraz to dopiero się zbłąźnił. Dał tylko bratu nowy powód do naśmiewania się. – To jeszcze o niczym nie świadczy i ty o tym dobrze wiesz.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Może wytłumaczysz? – Jack jawnie z niego kpił. Wiedział, że już wygrał. – Chociaż taka cnotka jak ty może nie znać odpowiednich słów. Powiedz „penis”. Penis.

Matt przez całą rozmowę trzymał dłonie w kieszeniach i teraz bardzo się z tego cieszył. Czuł, że są spocone.

– Nie zachowuj się jak dziecko, Jack – syknął. – Dobrze wiesz, co mam na myśli. W więzieniach albo wojsku...

– Dalej nie rozumiem. Proszę jaśniej. Co w więzieniach albo w wojsku? – Świetnie się bawił, więc zamierzał to dłużej pociągnąć. Mały Matt się rumienił. Słodko. – Poranne apele, jednakowe stroje czy słabe zarcie? O co chodzi?

– Mówię o tym, że stosunek analny może być przyjemny także dla osób heteroseksualnych – wydusił w końcu Matt.

– To wiedza książkowa czy doświadczalna?

Matt zacisnął pięści. Nienawidził z nim dyskutować. Za każdym razem Jack zadeptywał jego pewność siebie, którą później musiał mozolnie odbudowywać. To głównie przez brata miał wątpliwości, czy nadaje się na prawnika. Jack przeczesał swoje długie włosy i sapnął ciężko.

– Dobra, słuchaj. On jest gejem. Wiem to, widzę, jak na mnie patrzy, reaguje na moje ciało. I zarzekam się, że nie nagabuję go i do niczego nie zmuszam. Nie robimy niczego poza standardowym seksem. Musisz się tym zadowolić, okej?

– Niech będzie – zgodził się Matt z ociąganiem. – Powiedz mi tylko jedno. Zabezpieczasz się przynajmniej?

– Boisz się, żebym go czymś nie zaraził? – spytał Jack. – Nie mam żadnego syfa. Badam się regularnie.

Nie przeleciałby nikogo z klubów bez gumki, nawet by mu nie obciągnął. Nie był głupi, a do tego oglądał „Filadelfię”, gdy miał piętnaście lat. Uwielbiał Toma Hanksa.

– To też – przyznał Matt. – Ale dlatego dopytywałem się o to, czy on jest gejem, bo podobno wdowa Hanson często odwiedza bliźniaki w ich przyczepie.

– Ta stara kurwa? – zapytał z jawnym niedowierzaniem Jack. – Pieprzyła się ze wszystkim, nawet gdy stary Hanson jeszcze zipał.

– Dlatego ci o tym mówię. – Zmieszanie na twarzy brata od razu poprawiło Mattowi humor. – I raczej nie chodzi tam zapłatać warkocze piegowatej Tracy.

Jack szybko na powrót przykleił uśmiech do twarzy.

– Nie martw się braciszku, szybko się mnie nie pozbędziesz – zapewnił i z jedną zmiętą koszulą pod pachą, a drugą na wieszaku wyszedł z pokoju. Kurwa, tym razem dał ciała. Ten mały, rudy szczur jeszcze go popamięta.

Rodzinny obiad odbywał się w salonie. Byli na nim wszyscy oprócz najmłodszego syna, Liama. Benjamin Hetfield, siwy i wąsaty mężczyzna po sześćdziesiątce, z wyraźnie zaznaczonym pod kraciastą koszulą brzuszkiem zajął centralne miejsce przy masywnym, dębowym stole. Po jego prawej siedziała jego druga żona, Misaki. Była bardzo drobną kobietą o typowo azjatyckiej urodzie. Oczywiście wyglądała znacznie młodziej niż na swoje czterdzieści cztery lata. Po lewej kolejno siedzieli Jack i Matt w garniturowych spodniach i koszulach, ale bez marynarek i krawatów. Obiad nie ograniczał się do dwóch dań, a stół był przyozdobiony bukietem wykonanym zgodnie z ikebana przez Misaki. Jack musiał przyznać, że macocha miała świetne wyczucie i zachowała odpowiednie proporcje rodzinnej sielankowości i formalizmu. Jednak na niewiele się to zdało. Flaga konfederatów na ścianie oraz szabla oficerska, a także liczne trofea myśliwskie jasno wskazywały, w jakim jest się domu i kto jest jego panem.

– A gdzie Liam? – zapytał swoim ochrypłym, a nawet trochę gulgoczącym głosem Benjamin. – Mieli być wszyscy.

– W szpitalu – odpowiedział Matt.

– Misaki, wiedziałaś o tym? – zapytał Benjamin żonę, a ta tylko pokręciła przecząco głową.

– To skąd masz takie informacje, Matt? – dopytywał ojciec. – Do rodziców nie zadzwonił, a do ciebie już tak? Co ja mam z tym dzieckiem.

Matt jednak zaprzeczył:

– Do mnie oczywiście też nie zadzwonił. Sprawdziłem Facebooka tego jego szkolnego kółka. Była informacja, że nie będzie uczestniczył w kolejnym spotkaniu. A później już do niego zadzwoniłem i wydusiłem, gdzie leży. Standardowo w Mercy.

Benjamin wytarł serwetką zupę z twarzy, by dać sobie czas do przeanalizowania sytuacji. Nie chciał pokazać po sobie emocji.

– Dobrze. Pojedziesz do niego z rana – zdecydował.

– Ale tato – zaprotestował Matt – jechałem tu dziewięć godzin i mam następne cztery spędzić w samochodzie? Niech Jack jedzie do Oklahomy.

– Chyba żartujesz. Ten gbur tylko pogorszy jego stan. – Benjamin poklepał Jacka po ramieniu.

– Jest między wami mniejsza różnica wieku. Zawsze lepiej się dogadywaliście. Masz całą noc na regenerację.

Pominał już fakt, że Jack był tylko przyrodnim bratem Liama. Nie chciał dodatkowo zasmucać Misaki.

– Niech będzie – zgodził się Matt, a jego brat odetchnął z ulgą. Jeszcze tego mu brakowało.

Benjamin zastanowił się chwilę, jak powinien postąpić ze swoim najmłodszym synem. Nie był taki jak Jack, musiał się z nim obejść delikatniej.

– Tak, pojedziesz do niego jutro i porozmawiasz z nim. Jeśli to nic nie da, pojedę ja. Możesz go tym nawet zastraszyć.

– Nie sądzę, żeby to coś dało. Rozmawiałem z nim wielokrotnie, ale mogę spróbować jeszcze raz.

Misaki przez całą rozmowę się nie odzywała. Martwiła się o syna, ale wiedziała, że danie upustu emocjom w niczym nie pomoże.

– Misaki. – Głos męża wyrwał ją z zamyślenia. – Pojedziesz ze mną, dobrze? Ktoś musi pilnować mojego ciśnienia.

– Oczywiście.

Jack przyglądał się wszystkiemu ze zblazowaną miną. Znowu to samo. Liam był głupkiem i nie zmienił się przez ostatnie miesiące. Dobrze, że on nie musi brać w tym udziału.

– No, a jaki był powód zwołania tego obiadu? – spytał po chwili.

Matt tylko pokręcił głową na jego brak taktu i popatrzył na matkę. Na pewno przeżywała chorobę Liama najmocniej z całej rodziny, choć nie pokazywała tego po sobie. A Jack jak zwykle popisał się swoją gruboskórnością.

– A tak, oczywiście – pochwycił ojciec. Złapał Misaki za dłoń i położył ich ręce na blacie. – Będziemy musieli odłożyć to w czasie, ale postanowiliśmy z waszą matką odnowić przysięgę małżeńską. Poprzedni ślub nie był najlepszy, więc teraz wszystko będzie, jak być powinno. I na co zasługuje Misaki.

No pewnie, że nie był „najlepszy”, pomyślał Jack. Czego można się spodziewać po ślubie w wiejskiej kaplicy na ostatnią chwilę z dwudziestolatką w ósmym miesiącu ciąży? Że też musiał tylko po to jechać trzy godziny.

– Wspaniale – pochwalił Matt. – To na pewno będzie piękna uroczystość.

Liam nie mógł zasnąć. Nie dość, że po raz któryś w ciągu roku wylądował w szpitalu, to jeszcze wredna salowa odmówiła mu dodatkowej poduszki. Wiedział, że to niezdrowo spać z wysoką ułożoną głową, ale inaczej nie umiał. Pilota do łóżka też nie dostał. Teraz więc mógł tylko przekręcać się z boku na bok. Szpitala nawet w nocy nie spowijały całkowite ciemności, gdy przekręcał się na prawą stronę, mógł dojrzeć w słabej poświacie swojego sąsiada. A tego nie chciał, więc uparcie ignorował ścierpniętą lewą rękę i wgapiał się w żaluzje na całkowicie oszklonej wewnętrznej ścianie sali. Masowanie ręki tylko rozsyłało ciarki po reszcie ciała, więc w końcu musiał się obrócić. Drugi pacjent także nie spał. Leżał płasko na plecach i miał otwarte oczy. Jego białka wydawały się wręcz świecić na tle ciemnej skóry. Liam nie lubił Murzynów. Gdy miał dwanaście lat, zaprzyjaźnił się z pewną mulatką. Chodzili razem nad rzekę. Gdy ojciec się o tym dowiedział, za kark zaprowadził go do samochodu i wywiózł do dzielnicy biedoty. Chwycił jego twarz w szorstką dłoń i skierował na jednego z mężczyzn. Był wielki i czarny, naprawdę czarny jak smoła. Białka jego wylupiastych oczu były żółte i przekrwione, nos płaski, a zęby wielkie aż wypychające usta.

– Spójrz na jego pysk – mówił Benjamin do syna i owiewał jego twarz kwaśnym oddechem. – I na łapska. Z wierzchu czarne, a pod spodem białe. Wiesz, co ma taką mordę i takie łapy? No, wiesz?!

W oczach Liama zebrały się łzy, bo nie wiedział. Nie chciał, żeby ojciec znów go sprął. Jak wtedy, gdy przyłapał go na zabawie z Joshem i Tracy.

– Odpowiadaj, jak do ciebie mówię! – warknął ojciec, miażdżąc jego policzki w uścisku.

– Nie... wiem... – rozplakał się Liam.

– Jak małpa, jak szympan! To zwierzęta. Nie są potomkami Adama i Ewy. Bóg stworzył ich, żeby służyli jego prawowitym dzieciom. Wiesz komu?!

Liam tylko zaprzeczył głową, wciąż patrząc na mężczyznę, krępowany przez ojca. Murzyn miał brudne, skłębione włosy. Flanelowa koszula była potargana, a spodnie ubrudzone zaschniętymi fekaliami.

– Tobie, Liam! – Ojciec boleśnie wbij chłopcu palec na wysokości serca. – Jesteś ich panem, a oni twoimi sługami. Nie kolegami, nie przyjaciółmi. Mają wypełniać twoje rozkazy.

– Ale... ale pastor Grant mówi, że wszyscy są dziećmi bożymi.

– Tak?! – zakrzyknął ojciec, ściskając mu twarz jeszcze mocniej. – To spójrz!

Benjamin wyciągnął za głowę swojego łkającego syna z samochodu i podszedł w stronę murzyna, siedzącego przed swoją zdezelowaną przyczepą.

– Ty! – Wskazał na niego i wyciągnął swój skórzany pas ze szlufek spodni. – Podejdz tu i uderz mojego syna dwadzieścia razy.

Czarnoskóry mężczyzna bez słowa podszedł i pas. Josh wyraźnie czuł od niego mdły smród starego potu i przetrawionego alkoholu. I chyba kwaśny odór utlenionej krwi. Benjamin, wciąż trzymając Josha jedną ręką za głowę, drugą obsunął mu spodnie. Chłopiec mógł jeszcze zobaczyć, jak murzyn obnaża swoje wielkie, żółte zębiska, nim padł pierwszy raz. A potem drugi, trzeci i kolejny... Mężczyzna bił bez opamiętania, jakby chciał się wyżyć za wszystkie cierpienia, jakich doznał od białych. Josh wierzgał w stalowym uścisku ojca i krztusił się własnymi łzami. Co on niby zrobił temu mężczyźnie?! Nawet go nie znał! Dlaczego?!

– Dość! – Benjamin musiał powstrzymać mężczyznę, który popadł w amok. – Miejmy nadzieję, że zapamiętasz tę lekcję do końca życia, Liamie.

Nagły dźwięk wyrwał Liama ze snu na jawie. Dotknął jednego z policzków. Długo miał na nich opuchliznę tak jak na pośladkach. Blizny na nich nigdy do końca nie zniknęły. I ojciec skruszył mu jeden ząb.

– Pytałem, czy nie może pan zasnąć. – Liam dopiero teraz uświadomił sobie, że przed chwilą słyszał ten sam niski głos. Głos należący do jego sąsiada. – Jeśli pana boli, mogą wezwać pielęgniarkę.

– Nie... nie trzeba – odparł niepewnie. – To tylko to łóżko...

– Za twarde? – dopytywał mężczyzna. – Ja też wolę się lepiej umościć.

– Nie, że twarde. Po prostu lubię mieć wyżej głowę.

– Ach, to może jednak wezwać pielęgniarkę? Dodatkowa poduszka chyba mieści się w każdym ubezpieczeniu. – Zaśmiał się mężczyzna.

Och, Boże... Liam był rozdarty pomiędzy szybkim splewieniem gościa, a pociągnięciem rozmowy. I tak już nie zaśnie, a ich łóżka były oddzielone o jakiś metr.

– To nic nie da – odparł. – Podpadłem już salowej. Chyba nie jestem w jej typie.

– Trochę z pana szczypiorek jak na standardy Grubej Strzykawki. – Zaśmiał się mężczyzna.

A w ogóle, to jestem Tom. Tom Goodman. Podałbym panu rękę, ale nie wiem, czy nie skończy się to dla nas obu kontaktem z podłogą. I jeszcze pewne rurki mogłyby zostać wyszarpięte z pewnych miejsc.

– Tego drugiego szczególnie bym nie chciał – przyznał Liam. I nie chciał go też dotykać.

– Liam Hetfield.

– Tak jak ten Hetfield od samochodów? – spytał Tom, nie podejrzewając, że ma do czynienia z synem właściciela sieci salonów samochodowych. Nie w sali o najniższym standardzie w publicznym szpitalu.

– Tak samo.

Mężczyzna był teraz zwrócony w jego stronę, więc Liam mógł dojrzeć zarysy jego twarzy. Była pociągła, z mocnym podbródkiem. Nos i usta charakterystyczne dla czarnoskórych, ale nie przesadnie wydatne. Mężczyzna miał kręcone czarne włosy przystrzyżone na krótko. Liam w duchu ucieszył się, że Tom nie przypominał tak bardzo murzyna z jego wspomnień. Że nie był tak... murzyński.

– To może weź moją poduszkę? – zaproponował nagle mężczyzna, schodząc z formalnego tonu. – Ja nawet w domu śpię na płasko, więc nie jest mi potrzebna.

– Nie, nie trzeba. Naprawdę! – Liam zaczął powoli panikować. Nie wiedział, jak wybrnąć z tej sytuacji, nie denerwując mężczyzny. Boże, nie chciał go rozzłościć!

– Zarzekam się, że w mojej owczarni nie ma miejsca dla wszy! – Zaśmiał się mężczyzna. Był bardzo pogodny i niemal zawsze trzymały się go żarty.

– Nawet o to pana nie podejrzewałem. Oczywiście, ale... no, nie. Po prostu nie.

Tom przyjrzał się bliżej chłopakowi, bo nie mógł go raczej nazwać mężczyzną. Pomyślał, że może jest nieśmiały, ale nie zauważył na jego twarzy zmieszania, bardziej strach i coś jakby... Obrzydzenie? Nozdrza mężczyzna się rozwarły. Powoli zaczynał rozumieć i nie był najszczęśliwszy z wniosków, do których doszedł. Do tego chłopak miał trochę azjatyckie rysy, a o ile dobrze pamiętał, ten skurwiel Hetfield miał żonę Japonkę. W imieniu swoich klientów wytoczył już wiele spraw przeciwko Benjaminowi Hetfieldowi. Thomas Goodman był prawnikiem i zajmował się głównie sprawami dyskryminacji na tle rasowym. Aż zaskoczyła go fala frustracji, która nim nagle owładnęła. Niemal czuł żółć podchodzącą mu do gardła. Hetfield Junior był najlepszym dowodem na to, że wszystkie jego działania są po prostu płonne. Kurwa jego mać!

– Więc życzę panu szybkiego powrotu do zdrowia, żeby nie umarł pan z braku snu. To by była prawdziwa tragedia dla pana ojca – syknął, nim odwrócił się na drugi bok, by nie musieć patrzeć na chłopaka. – I proszę pozdrowić ode mnie ojca. Albo nie i tak pewnie niedługo znów się spotkamy.

Kompletnie zszokowany Liam nie wydusił ani słowa. Mógł przewidzieć, że to się tak skończy. Nie powinien dać się wciągnąć w tę rozmowę.

Początkowo Jack planował wyruszyć w podróż powrotną jeszcze w nocy, ale rewelacje na temat Josha skłoniły go do zmiany planów. Rano, zanim jeszcze Matt pojechał do Oklahomy, wsiadł w samochód i udał się na pole przyczep. Zaparkował na poboczu i wypalił jednego papierosa

na uspokojenie, opierając się o drzwi. Jeśli Matt mówił prawdę, to ten rudy wypłosz będzie miał naprawdę paskudną pobudkę. Wiszący na sznurku obok damskiej bielizny kombinezon wskazał Jackowi, do której z trzech przyczep powinien się udać. Zastukał pięścią mało delikatnie, aż rozszczękał się pies przywiązany łańcuchem do innej przyczepy.

– Zamknij mordę, kundlu! – warknął w stronę psa. Miał naprawdę parszywy humor.

Po chwili drzwi zdezelowanej, niegdyś białej przyczepy otworzyły się i ukazała się w nich ruda, piegowata postać w samej bieliźnie także niegdyś białej.

– Och, pan Hetfield. Nie spodziewałabym się, ale przyjmuję dopiero od dziesiątej – powiedziała Tracy i posłała mu obleśny, szczerbaty uśmiech.

Jack wyciągnął dwudziestodolarowy banknot i wcisnął dziewczynie.

– Masz i spieprzaj! Pół godziny mam cię tu nie widzieć.

– Spoko, tylko kapciuszki wezmę – odpowiedziała Tracy bez dopytywania o powód i odwróciła się, by wejść do przyczepy.

Jack chwycił ją za ramię i brutalnie ściągnął w dół. Nie przewróciła się tylko dlatego, że ją trzymał.

– No rozumiem. Nie ma się, o co denerwować.

– Po prostu spieprzaj! – warknął Jack.

Wyminął ją i wszedł do przyczepy. Jego buty wydały charakterystyczny odgłos. Podłoga się lepiała. W ciasnym pomieszczeniu panował totalny rozgardiasz. Wszędzie porozrzucane były damskie ubrania. W zlewie piętrzył się stos zaschniętych naczyń. Jack spojrzał na leżące na suszarce szklanki. Nie napiłby się z nich. Dolne łóżko było przykryte skołtunioną pościelą nie pierwszej świeżości. A na górnym siedział Josh. Widocznie przestraszony wlepił w Jacka swoje niebieskie ślepie.

– Zejdź stamtąd i wyjdź na zewnątrz – rozkazał chłodno Jack. – Nie chcę w tym syfie przebywać ani sekundy dłużej.

Poszedł na tył przyczepy, gdzie mieszkańcy pozostałych dwóch nie będą mogli ich dojrzeć. Odpalił kolejnego papierosa. Nie był pewien, co dokładnie chce zrobić. Rozmyślenia przerwało mu pojawienie się Josha, który jedynie nałożył trampki. Dalej był tylko w bokserkach, ale jak zauważył Jack, innych niż wczoraj i czystych oraz w białym podkoszulku. Teraz piegowatą dłonią próbował przygłodzić skołtunione podczas snu włosy z dość mizernym skutkiem. Było naprawdę wcześnie. Chłód nocy unosił się jeszcze nad ziemią, pokrywając obnażone łydki chłopaka gęsią skórą. Nie miał pojęcia, po co przyszedł Jack, ale wyglądał na wkurzonego. Przecież wczoraj nie wydawał się zły po tym, co się zdarzyło w aucie!

Jack wypluł papierosa i przydeptał go butem. I tak tylko przygryzał filtr. Miał to jakoś ładnie rozegrać. Pokazać, że go to wcale nie obeszło, że chodzi tylko o to jebane HIV, że... Uderzył Josha z całej siły w policzek otwartą dłonią, rozcinając mu przy tym skórę sygnetem. Chłopak upadł na ziemię i wlepił w Jacka przerażone spojrzenie. Krew z policzka zaczęła spływać mu po podbródku i skapywać na podkoszulek, malując na nim czerwone plamy. Chciał dotknąć piekącego miejsca dłonią, ale powstrzymał go Jack. Chwycił go za nadgarstek i podciągnął do pozycji stojącej.

– Kurwa, Josh! – warknął. – Dotykałeś tą dłonią ziemi. Chcesz dostać tęcza?!

Wyciągnął chusteczkę i przytknął mu do policzka.

– Byłoby łatwiej, gdybyś się trochę stawiał – mruknął do usilnie wgapiającego się w ziemię Josha. – Nie czułbym się jak ostatni skurwiel. Powiedz mi tylko, dlaczego stara Hanson.

Josh odskoczył od dłoni Jacka i panicznie rozejrzał się wokół. Nie lubił wolnych przestrzeni. Chciał gdzieś się ukryć. Jack...

– Puszczę cię do tej twojej nory, jak odpowiesz.

– Pani Hanson przynosiła zupę – powiedział po chwili Josh. Skulił się przy tym, więc długie włosy zasłaniały mu twarz. To trochę pomagało.

– No chyba żartujesz! – Usłyszał zdenerwowany głos Jacka. Bał się na niego spojrzeć. – Pieprzyłeś ją za talerz pomidorowej?! Smaczna chociaż była?!

Jack z każdym wydukany przez Josha słowem był coraz bardziej wkurwiony. Już wiedział, że to nie zakończy się dobrze. Dziś kogoś rozszarpie. Nie podjął jeszcze decyzji, czy to będzie ten rudy szczur, czy ta stara kurwa.

– Nie wiem. Nie jadłem jej.

– No to, kto ją jadł?! Twoi szczurzy współbratymcy?

– Tracy...

Jack wciągnął głęboko powietrze i powoli wypuścił. Lista przyszłych ofiar się wydłużała.

– Czyli ta ruda wywłoka sprzedała cię za miskę zupy? I co, dobrze jest się zanurzyć w tej rozjechanej szparze?!

– Nie wiem...

– Jak to nie wiesz?! – krzyczał Jack.

Nie obchodziło go już, czy ktoś to usłyszy. Odsunął się kilka kroków od chłopaka profilaktycznie. Krew w nim buzowała. Był wściekły, ale aż sam był zdziwiony, że ta wściekłość nie była wymierzona w Josha. Gdyby stało tu jakiś drzewo, to by w nie przywalił pięścią. Nie chciał, by Josh zastąpił mu pień.

Josh poczuł się jeszcze gorzej, gdy mężczyzna się odsunął. Czuł napływającą falę paniki. Trudno mu się oddychało przez ściśnięte gardło. Chciał się ukryć w jakimś ciasnym, cichym i przytulnym miejscu. Pryczepa nie była takim miejscem. W pracy, gdy pan Hetfield znowu go zwzywał, ukrywał się w Cadillacu, w którym spotykał się z Jackiem. A teraz Jack był wściekły na niego... Przetarł przedramieniem załzawione oczy i popatrzył na Jacka zza kurtyny rudych włosów. Nagle rzucił się w jego kierunku i przylgnął do niego.

– Jack... Jack...

Zaskoczony mężczyzna rozłożył ręce. Josh uczepił się go desperacko, przyciskając twarz do jego piersi i obejmując rękoma w pasie. To jakby wszystko z Jacka wypompowało. W końcu objął chłopaka rękami i poczuł, jak jego ciało się rozluźnia.

– Bardzo sprytna zagrywka, Josh. – Włożył palce we włosy na skroniach chłopaka i zaczął masować. – Nie będę już krzyczał, tylko powiedz do końca. Uprawiałaś z nią seks?

– Nie! – zaprzeczył gorączkowo Josh. – Pani Hanson tylko...

– No – ponaglił go Jack.

– Klękała obok na łóżku i patrzyła... jak się dotykam.

– To tyle? – zdziwił się Jack. – Nie chciała, żebyś jej włożył?

– Pani Hanson powiedziała, że mężczyzna musi być jak dąb, a ja jestem jak... wierzbowa witka.

Jack zagapił się na czubek głowy Josha z konsternacją wymalowaną na nieogolonej tego ranka twarzy. Przecież Josh miał w spodniach prawdziwy... konar. Gdy po chwili załapał, roześmiał się głośno i przycisnął chłopaka mocniej do siebie.

– Nie chciał ci stanąć? – dopytał z rozbawieniem. – A ona tylko patrzyła?

– Nie tylko...

Jack uniósł głowę Josha, by popatrzeć mu w oczy. Krew rozmazana przez łyzy tylko dopełniała obraz nędzy i rozpacz, jakim była teraz jego twarz.

– No wal. Wyduś to i będzie po wszystkim. Co ta stara prukwa robiła?

– Wkła...

– Masturbowała się, patrząc na twoją witkę? – Tym razem Jack szybciej załapał. – Miała dildo czy wibrator? – Ta wiedza nie była mu potrzebna, ale czuł jakąś perwersyjną potrzebę, usłyszenia szczegółów z ust jego szurka.

Josh popatrzył na niego bez zrozumienia w niebieskich ślepiach.

– No, czy to coś brzęczało, czy nie?

Strach ustąpił miejsca wstydomi. Zdrowy rumieniec wykwitł na policzkach Josha. Zaprzeczył energicznie głową.

– Czyli dildo – stwierdził Jack. Chciał jeszcze podręczyć chłopaka. Oczywiście nadal był wkurwiony, ale nie na Josha. To tak, jakby złościć się na psa za nasikanie na dywan, skoro nikt nie wyszedł z nim na spacer.

– Było silikonowe? – dopytał. Josh pokręcił głową.

– Plastikowe? – Znów ten sam gest.

– No, nie wiem... szklane? – I znów zaprzeczenie. – Hej, Josh. Nie robisz mnie przypadkiem w konia? No to jakie?

– Drewniane – padła bardzo cicha odpowiedź.

Jack znów się roześmiał. Drewniane dildo. To zadupie było tak opóźnione, że najlepsi przyjaciele tutejszych kobiet pamiętali czasy pierwszych osadników. Odchylił głowę Josha i pocałował go po zranionym policzku. Krew już zaschła. Wylał go jeszcze rękawem koszuli, którą pożyczył od Matta.

– Ale wiesz, że cię zabiję, gdy się dowiem, że masz jeszcze z jakiś innym mężczyzną sekretną bazę? – zapytał ostro.

– Ale na złomowisku jest tylko jeden deVille z siedemdziesiątego trzeciego – odparł Josh, nie rozumiejąc.

– I ja już się postaram, żeby tak zostało – odparł Jack. – A teraz idź do tej budy przywdziać gacie na tyłek. Pojedziemy na wycieczkę. Trzeba czymś odkazić tę ranę.

Josh z entuzjazmem pokiwał głową i pobiegł do przyczepy. Jack wyciągnął kolejnego papierosa.

– Przestań się ukrywać – rzucił, wiedząc, że Tracy przysłuchiwała się całej rozmowie.

Dziewczyna wyszła zza przyczepy i podeszła do Jacka z bardzo dziarską miną. Była pewna, że uda jej się coś ugrać po tych rewelacjach.

– No, no... Kto by się spodziewał? – zapytała kpiarsko. – Pan dziedzic okazał się sodomitą! Co by było, gdyby ojciec się dowiedział...

Jack popatrzył na nią z obrzydzeniem. Nędzny karaluch niewart jego uwagi. Uderzył ją pięścią w szczękę, w ogóle się nie hamując. Dziewczyna upadła na ziemię, wydając z siebie jeszcze pisk. Chwyła się za policzek i spojrzała na Jacka z furią i przestraszeniem jednocześnie.

– Uderzyłeś kobietę!

– Taka z ciebie kobieta jak ze mnie dżentelmen – odparł Jack i podszedł do dziewczyny.

Tracy próbowała odpełznąć, a później podnieść się na klęczki, ale Jack przygniótł ją butem do ziemi.

– Słuchaj, kurwo! – warknął. – Możesz sobie zarabiać dawaniem dupy, ale Josha w to nie mieszaj. Jeśli dowiem się jeszcze czegoś takiego jak dzisiaj, to cię zajebię. A mój ojciec mi tylko przykłaśnie, bo akurat w tej kwestii się zgadzamy. Ty i wszyscy tobie podobni jesteście tylko nic niewartym gównem, które rozcieram pod podeszwą.

Przydusił ją mocniej, aż usłyszał charczenie. Wziął w końcu nogę, pozwalając dziewczynie zaczerpnąć haust powietrza. Tracy podniosła się do siadu, dysząc gwałtownie. Popatrzyła na Jacka zesklonymi oczami już pozbawionymi wcześniej hardości. Jej policzek zaczynał puchnąć. Za chwilę pojawi się też siniak.

– Kiedy Josh wróci z pracy wieczorem, cała przyczepa ma lśnić – nakazał Jack. – Umyj wszystko detergentami i kup nową pościel.

– Nie mam pieniędzy. Dwadzieścia dolarów to za mało.

– To idź zarób – odparł. – I nie myśl, że tego nie sprawdzę. Będziesz lizać tę podłogę, jeśli nie uporzysz się z tym do wieczora. Rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem – odparła Tracy już zupełnie bez rezonu w głosie.

Josh czekał na niego nie przed wejściem do przyczepy, jak się tego spodziewał, ale koło samochodu. Pewnie usłyszał jego małą konwersację z siostrą. Jack wpuścił go do auta i zajął miejsce kierowcy. Teraz miał już klarowany plan tego, co zamierza jeszcze zrobić przed wyjazdem. Popadł też w jakiś dziwny dla niego radosny nastrój. Czy był to skutek niepotwierdzenia jego obaw, czy może tego, że wreszcie bez konsekwencji mógł komuś przywalić? Sam nie wiedział. Aż zagapił

się w lusterko na swoją uśmiechniętą twarz. Tak, miał znacznie lepszy nastrój niż po przebudzeniu. Czemu by tego nie wykorzystać? Taka rzadka okazja...

– Josh – zwrócił się do chłopaka, rozglądającego się po wnętrzu Vipera. – Zaraz pojedziemy po coś do przemycia rany. Najpierw powiedz mi, jak się poczułeś, gdy stara Hansonowa nazwała twojego przyjaciela brzoźową witką? Ubodło to twoją męskość?

Josh zagapił się na Jacka. Myślał, że już skończyli ten temat. Nie chciał znów tych obrazów przed oczami, gdy pani Hanson klękała obok niego. Jej obwisłe piersi chygotały się nad wydętym brzuchem. Josh aż się wzdrygnął.

– Zaciskałem oczy i wyobrażałem sobie ciebie, ale to nie pomagało, bo wciąż to słyszałem – odpowiedział jednak cicho.

– Rozumiem – mruknął blondyn, specjalnie schodząc w niższe tony. – Wujek Jack zaszerwuje ci terapię. Odwróć się w moją stronę.

Nie obchodziło go to, że stoją na poboczu drogi, którą pomimo wczesnej godziny przejeżdżały samochody. Mieliby go zamknąć w areszcie za sodomie? Przecież to jego ojciec fundował budowę nowego komisariatu. Polizał prawą dłoń, a lewą rozpiął chłopakowi dżinsowe spodnie. Wydobyl penisa i przejechał parę razy po całej długości obślinioną dłonią. Był naprawdę duży i kształtny nawet tylko lekko pobudzony. Kciukiem potarł dziurkę na szczycie. Była słodka tak jak drugi otworek chłopaka, który teraz zapulsował na te doznania. Josh nie za bardzo wiedział, co zrobić z dłońmi, ale w końcu jedną położył na plecach Jacka, a drugą na jego głowie. To, co czuł, było takie... wow! Tak inne od tego, co zwykle robili. Josh czuł, że Jack nie oczekiwał niczego w zamian. Że robi to dla niego, a nie dla siebie.

Jack przemielil język w ustach. Powinien już przejść do rzeczy, ale był trochę niepewny. To będzie jego największy. Zastanawiał się, co zrobić z językiem. Może powinien go wystawić na zewnątrz, by mieć więcej miejsca w ustach? Aż tak wielki nie jest, skarcił się w myślach. To tylko zwykły penis, a nie równanie Schrödingera. Nie ma, co się zastanawiać. Wziął główkę do ust i pomasował językiem. Josh jęknął i pociągnął go mocniej za włosy. Rozluźnił gardło

i po kawałeczku brał go dalej. Czuł, jak przesuwa mu się po podniebieniu. Dał sobie chwilę na odpoczynek. Gardło mu się buntowało, ale Josh tak słodko pojękiwał i ciągnął go za włosy stanowczo za mocno. Rudzielcowi musiało się podobać. W końcu wziął go do końca bardzo z tego zadowolony. W głowie zakołatała mu myśl, że z dobrego ciągnięcia druta powinni być dumni tylko elektrycy, ale zbył ją szybko.

– Mmm, Jack... – zaskomlał Josh. Potrzebował jakiegoś dynamizmu, jakiegoś ruchu.

Jack domyślił się, o co chodzi. Wypuścił jego penisa, by przełknąć ślinę. Chwycił nasadę dłonią, a ustami objął go do połowy. Zaczął mu szybko obciągać, wspomagając się ręką. Po pewnym czasie wyczuł, że Josh będzie dochodził, zanim ten mu to oznajmił.

– Och, Jack! – jęknął chłopak i skończył mu w ustach.

Mężczyzna przykrył wargi dłonią, by zmusić się do przełknięcia. Jego ściśnięte gardło wydało przy tym charakterystyczny dźwięk dławienia. Nie lubił tego, ale w tych warunkach nie miał innego wyjścia. Dwie koszule ubrudzone spermą w przeciągu doby, pomyślał Jack. Jakby to o nim świadczyło? Josh oddychał chrapliwie odchylony na siedzeniu pasażera. Było mu tak cudownie w ustach Jacka. Tak gorąco.

– Kuracja zakończyła się stuprocentowym sukcesem – zakomunikował Jack z uśmiechem.

– Chłop jak dąb. – Poklepał Josha zawadiacko po ramieniu. Po chwili zreflektował się, że wczoraj tak samo zrobił mu ojciec. Nie chciał być taki jak on.

– A ty? – zapytał Josh i spojrzał wymownie na jego krocze.

Jack coś tam czuł, ale sensacje żołądkowe skutecznie go chłodziły. Następnym razem nie powinien odwalać takiej fuszerki.

– Niczym się nie przejmuj – powiedział do chłopaka i pogładził go po głowie. – Zapnij pas. Zajmiemy się twoją raną teraz.

Stary Hanson w ostatnich latach swojego życia co niedzielę, po kościele siadał na małym zydelku przy drewnianym płotku na swoim podwórku i wręcz z nabożną czcią go malował. W

parzyste niedziele na biało, a w nieparzyste na zielono. Cierpliwie i dokładnie każdą sztachetę, każde nawet najmniejsze zagłębienie. Widok ten tak się wpasował w niedzielną rzeczywistość okolicy, że nikt z sąsiadów nie zwracał uwagi na zgarbionego staruszka na małym, drewnianym zydelku. Gdy pan Hanson malował płotek, jego małżonka w oddalonym o kilkanaście kroków domu zabawiała się z młodym metysem. Każdy z małej społeczności białych domków jednorodzinnych o tym wiedział, ale nikt o tym nie mówił.

Jack zajechał swoim Viperem na podjazd parterowego domu z zarośniętym ogrodem i małym, zdezelowanym płotem. Nikt go już nie malował od kilku ładnych lat. Nakazał zostać Joshowi w aucie, a sam skierował się w stronę domu. Zastukał kilka razy w drzwi i przycisnął dzwonek. Po chwili otworzył mu około sześćdziesięcioletni koszmara Ameryki. Kobieta miała nienaturalną, uzyskaną w solarium opaleniznę i tlenione, długie włosy jak u nastolatki. Jej pomarszczona twarz była przesadnie ponaciągana rękami chirurga plastycznego. A do tego wszystkiego miała na sobie różowy dres.

– Co za niespodzianka! – zawołała wdowa Hanson. – Młody Hetfield. Ale wyrosłeś! Prawdziwy przystojniak się z ciebie zrobił. Taki... hm, miastowy.

Jack ruchem ręki przerwał szczebiotanie kobiety. Jego żołądek znów się odezwał.

– Mój kolega się skaleczył. Nie miałaby pani czegoś do odkażenia i jakichś plastrów? – zapytał, nie chcąc przedłużać.

– Ależ oczywiście, że mam, skarbenku! Wejdz do środka. – Zaprosiła go gestem i odsunęła się w drzwiach. – Mam apteczkę w sypialni. Chodź ze mną. Wybierzesz, co potrzebujesz.

– Oczywiście.

Kobieta przeprowadziła go przez kiczowaty salon do swojej sypialni, myśląc, że schwyciła go w swoją pułapkę.

– Zaraz poszukam.

Przeszła obok łóżka pełnego różowych poduch i pochyliła się swoim zdaniem uwodzicielsko nad nocną szafką. Jack tylko się wzdrygnął i popatrzył na stojącą obok niego komodę.

Coś mu mówiło, że w dolnej szufladzie znajdzie to, czego szukał. Otworzył ją butem i rzeczywiście na dnie dojrzał wyrzeźbione w drewnie dildo. Było lekko wygięte i miało rączkę jak wałek do ciasta. Jack wyciągnął ostatnią chusteczkę i z obrzydzeniem podniósł zabawkę. Gdy się wyprostował, napotkał wzrok starej Hanson.

– O, jej! – zapiszczała kobieta. – Znalazłeś mojego małego przyjaciela! Jak mi wstyd. Ale taki mężczyzna w pełni sił musi rozumieć samotną kobietę...

– Zamknij się, wywłoko! – warknął Jack. Dildo trzymał przez chusteczkę w wyciągniętej ręce jak najdalej od siebie. – Jesteś najobrzydliwszym, co w życiu widziałem.

– Ale Jack...

– Zamknij się, mówiłem! Chociaż nie dziwię ci się, że wybrałaś Josha na swoją ofiarę. Taki ładny chłopiec z takim sprzętem. Ale nie chciał współpracować, co?

– Skąd wiesz...

Jack jednym susem pokonał dzielącą ich przestrzeń i dopadł do Hanson.

– Wiem, bo moja słodka dziura nie ma przede mną tajemnic. Podobno nie mógł mu przy tobie stanąć. Powinienem ci zademonstrować, jak właściwie zabawiać się z chujem? – zapytał i chwycił ją z tyłu za włosy z zamiarem wbicia jej kawałka drewna w gardło.

– Nie! Ja nie chciałam! – wyskomlała Hanson. – Ja tylko... Mój mąż to dla mnie wyrzeźbił.

Jack szarpnął włosy kobiety tak, że ta poleciała do tyłu. Napawała go takim obrzydzeniem, że nie mógł tego zrobić. Hanson upadła, uderzając przy tym głową w ścianę. Wyglądało na to, że zemdląca. Jack rzucił drewniane dildo na podłogę, przykrył chusteczką i podpalił. Podniósł jeszcze upuszczoną przez kobietę apteczkę i wyszedł z domu.

Wypuścił Josha z samochodu w takim miejscu, by nie zauważono z domu lub salonu, że przyjechał. Chłopak pomachał mu na pożegnanie. Słodko wyglądał z plastrem na policzku. Jack puścił mu oczko i odjechał. To nie był wcale taki zły weekend.

Josh pośpiesznie udał się do warsztatu obok salonu. Był już mocno spóźniony. Ale nawet perspektywa bolesnej kary jakoś mu nie przeszkadzała. Jack obiecał, że niedługo znów przyjedzie. Chociaż ostatnio też tak powiedział, a pojawił się po trzech miesiącach.

– Gdzieś ty był, gówniarzu?! – ryknął mechanik z sumiastym wąsem i w obowiązkowym kowbojskim kapeluszu na głowie. – Mamy taki zapierdol od rana, a ty sobie robisz wakacje!

– Przepraszam. Zaspałem – skłamał Josh.

– Dobra, nieważne. Przebierz się i chodź mi pomóc.

– Nie zabrałem kombinezonu – odparł Josh. – Wyprałem go i rano był jeszcze mokry.

W porę uchylił się przed uderzeniem ścierką, którą mechanik nosił na ramieniu, więc tylko musnęła jego ramię. Czmychnął do kanciapy, by nie musieć słuchać wyzwisk.

– Oto proza mojego życia. Czy dostać mokrą szmatą po łbie, czy nosić mokry kombinezon?

– mruknął do siebie i zaczął szukać czegoś do przebrania.

M

Matt zamasyście wparował do sali Liama, a przynajmniej taki miał zamiar. Wyhamował go widok drugiego pacjenta i lekarza z nim rozmawiającego. Nikt go nie ostrzegł, że jego brat nie leży sam. I to jeszcze z czarnoskórym. Znał fobię Liama.

– Podsumowując, rozbijanie kamieni nerkowych zaplanowaliśmy na jutro, na trzynastą – oświadczył lekarz czarnoskóremu pacjentowi. – To naprawdę prosty i nieinwazyjny zabieg, więc na pewno wszystko będzie dobrze – zapewnił jeszcze, nim wyszedł z sali, kiwając Mattowi głową.

Matt zamrugał i przerzucił wzrok na Liama. Twarz jego młodszego brata była jakby złagodzoną wersją jego własnej. Nos miał trochę mniej orli, a oczy nie aż tak zwężone. Jednak przez długie do ramion rozjaśniane włosy, bródkę i parę kolczyków Liam wydawał się zupełnie różnić od starszego brata.

– I co mam ci powiedzieć, Liam? – zapytał Matt, podchodząc do łóżka z rękami w kieszeniach garniturowych spodni. – Nie ma nic, czego już bym ci nie mówił.

– Tak, tak – zdenerwował się Liam. Nienawidził tego moralizatorskiego tonu brata. – To trzeba było nie przyjeżdżać na próżno.

Matt nie chciał się kłócić przy drugim pacjencie i skądś chyba kojarzył tego gościa, ale nie zamierzał też wyjść z niczym. Nie po to jechał tu kilka godzin.

– I czyja to niby wina? – zapytał. – Proszę cię i proszę, a to wszystko jak grochem o ścianę! Przecież sam widzisz, że nawet dializy dwa razy w tygodniu to za mało. Przez to jesteś taki... niemobilny, ograniczony. Mógłbyś robić tyle rzeczy...

– A może ja nie chcę robić „tylu rzeczy”?! – wybuchnął Liam. – Wyobraź sobie, że nie jestem twoją kopią, małym Mattem z aktówką pod pachą. A ty nie jesteś mną i nie chcesz się stać kimś takim. Kimś niemobilnym, jak to błyskotliwie ująłeś. Bardzo pasujące do naszej rodziny.

– Och, skończ z tym sarkazmem, Liam – warknął Matt. – Dobrze wiesz, że opowiadasz głupoty. Więc zgódź się wreszcie na ten rodzinny przeszczep! Ja po tygodniu wyjdę ze szpitala z aktówką pod pachą i powrócę do mojego normalnego życia.

– Skąd możesz być tego pewien? „Bardzo bezpieczne” nie znaczy całkowicie pozbawione ryzyka. Ja już jestem przyzwyczajony do mojego życia, a ty nie, więc zostawmy wszystko, jak jest.

– No jasne! Przyznałbyś w końcu, że to tobie jest tak najwygodniej. Wszyscy użalają się nad biednym Liamem i niczego nie wymagają!

Matt jeszcze nie zdążył skończyć zdania, a już wiedział, że przesadził. Nie po to tu przyszedł, nie to chciał powiedzieć. Znowu nawalił. Przyszły prawnik powinien panować nad nerwami. Liam zagapił się na niego z otwartymi ustami. Bycie rodziną to granie przez cały czas, a Matt właśnie wypadł ze swojej roli.

– Po prostu wyjdź – powiedział Liam już znacznie ciszej. Czuł, jak zadrżał mu podbródek.

– Mam już osiemnaście lat i sam mogę decydować, czy chcę pozostać ofiarą losu.

– Och, Liam, dobrze wiesz, że ja nie chciałem...

– Ja też nie chciałem... żebyś tu przyjeżdżał. I powiedz ojcu, że wszystko dobrze.

– Sam mu tu powiesz – odparł Matt już zgaszony. – Pojawi się tu jutro. Powiem, żeby przyjechał koło trzynastej.

Lepiej, żeby ojciec nie spotkał się z czarnoskórym sąsiadem Liama, pomyślał Matt. To i tak będzie ciężka przeprawa dla jego brata.

– Dobra, przegrałem tę bitwę – stwierdził i wyciągnął do brata rękę. – Biała flaga?

– Tak – zgodził się Liam. Nie zamierzał pytać o ojca. To, że przyjedzie, było już przesądzone.

– Trzeba ci czegoś? – spytał Matt.

– Nie, dzięki. I tak mam dietę. Spotkałeś się z Jackiem? Co u niego?

– Jak zwykle. Wolny jak jastrząb. Może z obrączką na łapie, ale jednak.

– Tak myślałem – odparł Liam. Nie lubił najstarszego brata, ale podziwiał go jednocześnie.

Matt ukradkiem spojrzął w stronę czarnoskórego pacjenta. Podczas kłótni zupełnie o nim zapomniał. Mężczyzna nie dawał tego po sobie poznać, ale na pewno słyszał wszystko dokładnie i wysnuł odpowiednie wnioski. Byleby Liam nie miał przez to nieprzyjemności.

– To ja uciekam – powiedział do brata. – Przede mną długa droga do Austin, a jutro zajęcia od rana.

– Spoko. Naszej rodzinie z pewnością przyda się dobry prawnik – odparł Liam pół żartem, pół serio.

Matt kiwnął jeszcze głową czarnoskóremu mężczyźnie i wyszedł z sali.

Dojazd z rodzinnego Amarillo do Oklahomy w celu, a jakże by inaczej, odbycia kolejnej bezproduktywnej kłótni z młodszym bratem zajął mu cztery godziny. O pierwszej po południu przekroczył próg szpitala, a pół godziny później odpalał już auto, aby spędzić w nim kolejne osiem godzin. Do Austin, w którym studiował prawo, dotarł późnym wieczorem i musiał zastanowić się, co ze sobą począć. Mógł jak przykładowy nerd udać się prosto do mieszkania, wyprasować koszulę na jutro, przeglądać i poukładać alfabetycznie notatki, a przed snem pograć jeszcze w The Witcher III. Albo mógł jak większość studentów jego prestiżowej uczelni asymilować się życiem elit i zostania białym kołnierzykiem. Zdążył się już jednak przekonać, że narkotyki i podły humor to fatalne połączenie, więc nie zamierzał zwijać dziś dwustudolarowego banknotu. Postanowił go przepić.

„Joyce” był irlandzkim barem znajdującym się w piwnicy budynku mieszkalnego. Chodnik od drzwi wejściowych dzieliły trzy małe i strome schodki. Po lewej stronie od wejścia znajdował się wysoki, masywny bar z płaskorzeźbami przedstawiającymi kufle piwa. Po prawej natomiast stały dwa rzędy stolików z podłużnymi ławami, a z tyłu maszyna grająca. Matt po wejściu od razu udał się w stronę baru i usiadł na wysokim stołku wyściełonym mało oryginalnie zielonym pluszem. Znajomy barman tylko kiwnął mu bez słowa głową i nalał whisky z colą.

– I coś taki zamyślony, Matthew? Hmm? – zapytał, przeciągając charakterystycznie jego imię. Może i był ponad stu kilowym pakerem, ale ciotka to przecież stan umysłu, a nie ciała. – Mam coś, co rozgani twoje złe myśli. Popatrz za siebie. Tylko dyskretnie.

Matt bez zrozumienia obrócił głowę w stronę stolików. Na końcu baru, tuż przy lekko zdezelowanej szafie grającej siedziało dwóch mężczyzn. Jednego od razu zakwalifikował jako punka, choć punk już dawno umarł. Trudno było ocenić jego wiek. Mógł być zarówno wychudzonym czterdziestolatkiem, jak i przeżutym i wyplutym przez narkotyki chłystkiem. Nawet gdy siedział, widać było, że jest charakterystycznie zgarbiony. Zapewne był gitarzystą. Jego zespół musiał nie radzić sobie najlepiej, bo zarówno czerwony irokez z odrostami, jak i wytarta skórzana kurtka aż wołały o kompleksową odnowę. Matt przerzucił wzrok na drugiego mężczyznę i od razu zrozumiał, co barman Gordon chciał mu pokazać. Towarzyszem punkowca był nie kto inny, jak Santa Boy, frontman zespołu thrashowego High Death, którego gwiazda świeciła jasno jeszcze dziesięć lat temu. Gdyby nie charakterystyczny długi nos i dwa stożkowe kolczyki pod lewym kąciem ust, Matt nie rozpoznałby wokalisty. W jego umyśle Santa na zawsze będzie jawił się jako chudy, lecz umięśniony mężczyzna odziany jedynie w obcisłe skórzane spodnie obsunięte niebezpiecznie nisko. Tak, kości biodrowe rockmana oraz pasek włosów pomiędzy nimi utwierdziły trzynastoletniego Matta w tym, że woli facetów, choć długie włosy przyklepione potem do twarzy i torsu też miały w tym swój udział. Festiwal *Imperialists of Rock*, na który trzynastoletniego Matta zabrał starszy brat, był przełomowym momentem dla ich obojga. A ściślej rzecz ujmując, było nim spotkanie właśnie tego człowieka, na którego teraz patrzył.

– To serio on? – spytał Matt po odwróceniu się do Gordona. – Ludzie się zmieniają...

– Podobno rzucił dragi i dlatego tyle przytył – odpowiedział barman konspiracyjnym szeptem.

– i obciął włosy. Pewnie było widać łysy placek.

Matt skrzywił się na obraz, który podsunęła mu wyobraźnia i napił się whisky.

– Ale może to i dobrze, że nie robi z siebie durnia jak Axl Rose – zauważył.

W tym samym momencie poczuł na plecach ciepło drugiego człowieka. Niepowtarzalny, chropowaty głos utwierdził go w tym, że pochyła się nad nim nie kto inny, jak Santa Boy. Matt zerknął na niego dyskretnie. Mężczyzna miał podgolone boki głowy, a środkowy pasek farbowanych na czarno włosów zaczesywał do tyłu. Jego twarz pozostała szczupła, jednak luźne podgardle i czarny, obszerny płaszcz, który rockman nosił zapięty nawet wewnątrz baru, tylko potwierdzały słowa Gordona o jego tuszy. Mężczyzna zakupił butelkę burbona i odszedł w stronę stolików, pozostawiając Matta ze swoimi myślami.

Lato dziesięć lat temu, festiwal Imperialists of Rock

Początkowo nie mógł zrozumieć, dlaczego jego starszy brat, który do tej pory był nim tylko z nazwy, nagle postanowił zabrać go ze sobą na festiwal muzyczny. Uciekli z domu pod osłoną nocy, ponieważ ojciec uważał wykonawców każdej muzyki mniej lub bardziej popularnej za „śmierdzących leni i orędowników wywrotowych idei”, muzyków rockowych i metalowych dodatkowo za satanistów. Oczywiście ze środkiem transportu nie mieli problemów. Matt szybko przekonał się, że był potrzebny Jackowi do pilnowania namiotu, kiedy on wychodził bez słowa wytłumaczenia każdej nocy.

Nie doznał poczucia ani wyzwolenia, ani euforii, które najwyraźniej towarzyszyły ludziom wokół niego. Półnaczy tańczyli jakby w ekstazie, ubabrani w błocie. Duża część z nich była upalona, a niektórzy sięgnęli też po coś twardszego przed koncertem. On natomiast stał, kurczowo trzymając się czarnej koszulki Jacka z czaszką na przodzie i starał się nie zostać przygniecionym przez długowłosych fanów ostrego grania. Supportujący zespół nie trzymał tępa, ich wokalista fałszował, a pomimo tego tłum był zachwycony. Wrzask stał się wręcz ogłuszający, gdy na scenę weszli członkowie zespołu High Death. Matt znalazł w internecie tłumaczenie nazwy zespołu przez jego frontmana. *High* miało pochodzić od *High School*, ponieważ członkowie zespołu mają zamiar żyć szybko i umrzeć młodo, czyli najwyżej dekadę po skończeniu liceum. Perkusista natomiast w pewnym wywiadzie stwierdził, że pierwszy człon nazwy zespołu nawiązuje

do ich ciągłego stanu upojenia, które zapewne będzie przyczyną ich prędkiej śmierci. Nieważne gdzie leżała prawda, Matt i tak uważał ich za kolejną bandę narkotyzujących się debili bez przyszłości. W występie High Death także nie było miejsca na imponujące solówki, błyskotliwe riffy i wokal rodem ze szkoły muzycznej. Był tylko trzask gitar elektrycznych i wrzaski Santy Boy'a. Matt pociągnął brata mocniej za koszulkę, by ten zaoferowany koncertem zwrócił na niego uwagę.

– Jack! Jack! – krzyknął, gdy brat pochylił się ku niemu. – Chcę zobaczyć!

Jack pozwolił swojemu młodszemu bratu wdrapać się na niego i usiąść na barkach. Matt na scenie dojrzał pięciu mężczyzn odzianych jedynie w skórzane spodnie. Santa miotał się pomiędzy gitarzystami, a jego długie, przyklejone potem do wygolonej klaty włosy sięgały aż do włosów łonowych. Obcisłe, skórzane spodnie miał obsunięte znacznie niżej niż pozostali członkowie zespołu. Gdy Matt umościł się na ramionach brata, wokalista właśnie symulował ruch frykcyjne na statywie od mikrofonu. Basista na ten widok włożył sobie dwa place do ust, pokazując, co o tym myśli. Po chwili rzeczywiście zwymiotował na scenę, upadając na kolana. Jego twarz znalazła się wymiocinach, gdy Santa Boy kopnął go w tyłek. Teraz grali tylko perkusista i jeden z gitarzystów, bo drugi rzucił się w rozentuzjasmowany tłum.

– Jack, to było okropne – stwierdził Matt, gdy już wrócili do swojego namiotu po koncercie.

– Dwieście dolarów za oglądnięcie ćpunów rzygających pod siebie?

Jack posłał mu pogardliwe spojrzenie. Szczyl nie mógł tego zrozumieć. Tego, jak wolni byli ci ludzie, że sami wybrali swój los, co im nigdy nie będzie dane. Zabrał Matta tylko po to, żeby pilnował ich namiotu, kiedy on będzie uskuteczniał swój plan. A zaraz miała nadejść ostateczna i najlepsza noc ku temu.

– Pilnuj gratów, smarku – polecił i zaczął wylazić z namiotu.

– Znowu mnie zostawiasz samego? – zawołał zirytowany Matt. – I co ja mam robić otoczony przez bandę upalonych facetów?

– Nie wiem. Może też spróbuj się rozluźnić i, a nuż, widelec, ten kij wypadnie ci z dupy
– sarknął Jack na odchodne.

Matt odczekał krótką chwilę i ruszył za bratem. Miał serdecznie dość zlewczego podejścia Jacka do jego osoby. Chciał też dowiedzieć się, czy brat nie wplątał się w coś niebezpiecznego i nielegalnego. Wysoki wzrost i jasne włosy pomagały w śledzeniu go, gdy przebijał się przez tłum. Wszystko wskazywało na to, że Jack kierował się w stronę platformy, na której odbywały się koncerty w ramach festiwalu. Jej tyły zastawione były teraz busami i kamperami, którymi przyjechały zespoły. Kilku ochroniarzy odganiało fanów, którzy chcieli przedostać się na trwające *afterparty* za samochodami.

– Mam jaja większe od twoich cycków – doszło do uszu Matta. Szczupła, fioletowowłosa dziewczyna starała się wyminąć rosłego głównie wszerz czarnego ochroniarza. – Strzel sobie implanty, to może Santa zwróci na ciebie uwagę. Ale do tego czasu, to spieprzaj!

– Dupek! – krzyknęła dziewczyna i nim odeszła, kopnęła mężczyznę w goleń, na co on w ogóle nie zareagował.

Jack tymczasem podszedł do drugiego z ochroniarzy, młodego białego mężczyzny w długich, czarno-białych dreadach. Ten przepuścił go bez słowa i pozwolił przecisnąć się pomiędzy maskami samochodów. Musiał robić to nie po raz pierwszy. Matt wahał się moment, ale w końcu wychylił się zza grupy rozmawiających mężczyzn i podszedł do tego samego ochroniarza.

– Szukasz tu swojej matki? – zapytał chłopak w dreadach na jego widok. – W takim razie wyrazy współczucia, mały.

– Przyszedłem tu za moim bratem, Jackiem.

– To twój brat? – zdziwił się chłopak. – To też jest powód do współczucia.

– Przepuść mnie – nalegał Matt. – Chcę zobaczyć...

– Nie chcesz zobaczyć – przerwał mu ochroniarz. – Ale przepuszczę cię... Za pocałunek.

Zszokowany Matt popatrzył na twarz mężczyzny. Był dość przystojny, miał ładne zielone oczy schowane za okrągłymi szklami drucianych okularów. Szybko odwrócił wzrok i spróbował przybrać na twarzy maskę obojętności. Nigdy jeszcze się nie całował, nawet z dziewczyną.

– Nie chcę – odparł pozornie obojętnym tonem. – Stąd czuję, jak śmierdzisz marihuaną. Twój oddech musi być okropny.

– Ho, ho, ho. Ma kotek pazurki. – Zaśmiał się chłopak. – Ale rozumiem, pierwszy pocałunek powinien być wyjątkowy.

Ochroniarz uśmiechnął się szelmowsko i wyciągnął z kieszeni podziurawionych dżinsów gumę do żucia, którą po odpakowaniu wsadził sobie do ust. Przeżuwał w milczeniu, wpatrując się w twarz Matta ponad szklami okularów. Chłopaka początkowo oblała fala zimna, która zaczęła się rozgrzewać, im dłużej patrzył się w butelkowe tęczówki ochroniarza i jego powoli poruszające się usta. Gdy mężczyzna w końcu wypluł gumę ponad głowę Matta i nachylił się do niego, policzki chłopca były już tak ciemne, jak jego rozgrzane usta. Zdążył poczuć zaledwie parzące muśnięcie, a jego pierwszy pocałunek już się zakończył. Mężczyzna odrzucił jeszcze na plecy dredy, które spadły przy pochyleniu i odsunął się, robiąc Mattowi przejście. Chłopiec szybko przemknął obok niego, ostatek woli powstrzymując się przed dotknięciem ust dłonią.

– Tylko nie zaskarżaj mnie później za uszczerbek na psychice po tym, co tam zobaczysz! – zawołał za nim rozbawiony mężczyzna. – I tak mieszkam z matką!

Za busami znajdował się następny półokrąg ze wzmacniaczy i kolumn. Mattowi na ten widok przyszły na myśl kręgi piekieł Dantego. Przycupnął za wysokim głośnikiem i obserwował. Santa Boy siedział na odwróconej skrzynce do przewożenia butelek obok odrajanego samochodu z drzwiami otwieranymi do góry, którego modelu Matt nie potrafił rozpoznać. Wnętrze auta aż po sufit wypełnione było zgrzewkami piwa i butelkami różnych alkoholi. Wśród skąpo odzianych kobiet, niektórych nawet toples, Matt zauważył także perkusistę High Death, trzech muzyków supportu i paru innych mężczyzn. Jack stanął pomiędzy autem i Santa Boy'em, wlepiając w niego wyczekujące spojrzenie.

– Więc się zdecydowałeś? – mruknął muzyk zblazowanym tonem, jakby rozdziewiczenie nastolatków było dla niego chlebem powszednim.

– Tak...

Matt wolałby nie pamiętać reszty, ale trudno jest wyprzeć z pamięci obraz siedemnastoletniego brata zapartego rękami o bok samochodu, z džinsami w kostkach.

Santa Boy wrócił do swojego stolika i postawił butelkę przed towarzyszem. Ten popatrzył na nią zdezorientowany, by zaraz przerzucić wzrok na twarz muzyka. Z jeszcze większym zdziwieniem odkrył, że wykrzywia ją uśmiech.

– Bourbon? – zapytał z powątpiewaniem. – Nie myślałem, że stać na to kogoś, kto musiał zastawić swój własny grillz* w lombardzie.

Santa wychylił się, by sięgnąć po gazetę, leżącą na drugim stoliku. Przewertował ją szybko i rzucił przed znajomego.

– od dzisiaj oprócz Szatana zamierzam też wierzyć w zbiegi okoliczności. Gdy ty śmiałeś marnować mój czas, spóźniając się, ja zająłem się czytaniem oto tej gazety. A teraz podchodzę do baru, by kupić jakieś miejscowe szczyzny i widzę jego. – Santa popukał zdjęcie pod artykułem. – Cud, kurwa. Alleluja!

Jego kolega, któremu te wyjaśnienia niczego nie rozjaśniły, tępo zapatrzył się na fotografię. Przedstawiała ona młodego bruneta w garniturze obejmowanego ramieniem przez przysadzistego, starszego mężczyznę w kowbojskim kapeluszu. Tytuł artykułu brzmiał: „Najlepszy student prawa w Austin synem lokalnego magnata rynku samochodowego”.

– I to ma być to rozwiązanie problemów? – zapytał z powątpiewaniem. – Sprzedanie auta? Liczyłem na coś bardziej błyskotliwego.

Santa pochylił się w jego stronę i trochę konspiracyjnym, a trochę zadziornym szeptem powiedział:

– Ten chłopaczek przy barze, to ten sam gostek, co na zdjęciu. I jak zobaczyłem jego chińską mordkę, to sobie przypomniałem, że posuwałem jego starszego brata jakieś dziesięć lat temu. Mały skurczybyk obserwował nas po kryjomu, gdy ja kryłem jego braciszka. Teraz rozumiesz?

– No tak, wszystko jasne – sarknął zapytany i teatralnie poklepał się w czoło. – To przecież takie oczywiste, że zamierzasz terroryzować jakiegoś gościa, którego posuwałeś, Szatan wie gdzie i kiedy. A masz jakieś dowody? Zdjęcia?

– Nie, ale wydaje mi się, że zoom twojej komórce jest wystarczająco duży.

Santa Boy uśmiechnął się, co spowodowało pojawienie się kurzych łapek przy jego oczach. Nalał sobie burbona i z chorą ekscytacją patrzył, jak twarz jego kochanka ciemnieje.

– Taa, a skąd jesteś taki pewien, że on ci się nadstawi? Najlepsze lata masz już za sobą – odpowiedział mężczyzna na pozór obojętnie.

– Bo może teraz zamiast sześciopaka mam dwupak, ale dalej jestem legendą, a ten chłopak chciał być przetrzynięty przez legendę rocka. I będzie chciał drugi raz. Wszyscy chcą. Ty też chciałeś.

* nakładka na zęby ze złota, srebra lub platyny często wysadzana kamieniami szlachetnymi np. diamentami. Noszą je zazwyczaj raperzy, ale także muzycy wykonujący inne gatunki oraz każdy, kto chce poszpanować kasą.